

Prezydent Filipin obawia się inspirowanego przez USA zamachu stanu

18 czerwca 2017

Filipiny od wielu lat były bliskim sojusznikiem Stanów Zjednoczonych. Dawniej były kolonią hiszpańską, lecz w wyniku wojny amerykańsko-hiszpańskiej, która toczyła się w latach 1899-1902, Filipiny przeszły we władanie USA. Na terenie tego państwa powstały bazy wojskowe, w których stacjonują wojska amerykańskie. Lecz ich obecności, a także wpływom Stanów Zjednoczonych, zagroziły wybory prezydenckie, które odbyły się w 2016 roku. Nowy filipiński rząd ma zupełnie inne poglądy na sojusz z USA.

Rodrigo Duterte, nowy prezydent Filipin, zasłynął między innymi z wulgarnych i bezpośrednich komentarzy. Negatywnie wypowiadał się na temat współpracy ze Stanami Zjednoczonymi i przychylnie spoglądał w kierunku sojuszu z Chinami oraz Rosją. Dla Amerykanów jest to szczególnie nieprzyjemna sytuacja, która wystąpiła w nieodpowiednim czasie, ponieważ Filipiny znajdują się przy Morzu Południowochińskim gdzie trwa spór terytorialny. Stany Zjednoczone wyraźnie opowiadały się po stronie swoich sojuszników a z niektórych wypowiedzi wojskowych wynika, że kraj jest w stanie nawet pójść na wojnę z Chinami.

Tymczasem Rodrigo Duterte opowiadał się za dialogiem i nie popierał wojny. Dodatkowo nowy prezydent Filipin otrzymuje wsparcie zarówno od Chin, jak i od Rosji, w brutalnej walce z dilerami narkotykowymi. Coraz więcej wskazywało na to, że Filipiny po prostu zmieniły sojusznika i przeszły z jednej strony barykady na drugą.

Oczywistością jest, że dla Stanów Zjednoczonych Filipiny mają

znaczenie strategiczne, zatem obecna administracja USA nie zrezygnuje tak po prostu z wpływów w tym regionie. Tak więc to co obecnie dzieje się na tym wyspiarskim państwie może mieć związek z próbą odzyskania wpływów.

Rodrigo Duterte od samego początku urzędowania mówił, że wojska amerykańskie powinny opuścić kraj. Twierdził, że ich obecność w południowej części kraju na wyspie Mindanao utrudni pokonanie islamskich radykałów, którzy są częścią samozwańczego Państwa Islamskiego. Prezydent Filipin nie powiedział tego wprost, ale dał do zrozumienia, że to Stany Zjednoczone odpowiedzialne są za obecność podległej ISIS organizacji zbrojnej.

W trakcie niedawnego wywiadu Duterte stwierdził, że USA chcą na nim wymusić pójsicie na wojnę z Chinami. Wyraził również obawy, że agencja CIA może próbować go wyeliminować jeśli nie spełni ich żądań i odejdzie od sojuszu z Zachodem. Niedługo potem, islamiści rozpoczęli działania zbrojne na wyspie Mindanao i zajęli miasto Marawi.

Ofensywa bojowników ISIL zbiegła się w takim czasie, iż można podejrzewać, że została zaplanowana przez same Stany Zjednoczone. Prezydent Filipin nie zgadzał się na obecność wojsk amerykańskich. Potem zaatakowali islamiści i przejęli Marawi. Filipińska armia rozpoczęła samodzielną walkę z terrorystami a USA niespodziewanie wysłały kilkuset żołnierzy do Mindanao, aby rzekomo pomóc w działaniach zbrojnych.

Rodrigo Duterte powiedział, że wbrew oświadczeniom Amerykanów rząd nie prosił o pomoc wojskową. Później dowiedzieliśmy się, że to filipińska armia wystosowała prośbę do Stanów Zjednoczonych o wsparcie w postaci nadzoru z powietrza, podsłuchu elektronicznego oraz pomocy w zakresie komunikacji. Okazało się więc, że siły zbrojne samodzielnie podjęły tę decyzję bez wiedzy prezydenta. Duterte stwierdził, że wojsko posiada proamerykańskie nastawienie.

Biorąc pod uwagę powyższe informacje wyłania nam się bardzo znajomy obraz. Wcześniej Syria i Iran, a teraz Filipiny twierdzą, że Stany Zjednoczone finansują i kierują działaniami uzbrojonych terrorystów. Amerykanie jak zwykle zaprzeczają oskarżeniom. Tzw. Państwo Islamskie znów sprawuje rolę agresora i jest pretekstem dla interwencji zbrojnej USA. Dokładnie to samo wydarzyło się w Syrii i Iraku w 2014 roku. Jednocześnie rosnąca siła i ekspansja ISIL staje się narzędziem do szantażowania innych państw.

Autorstwo: John Moll

Na podstawie: theantimedia.org

Źródło: ZmianyNaZiemi.pl